

Podziemny „Obiekt M”

9 października 2012

W 1964 r. mieszkający na przedmieściach Tallina Wirgo Mitt postanowił wykopać studnię. Podczas prac natrafił jednak na „metalową” przeszkodę, która wydawała się nie do pokonania. Wydobywszy z dna wykopu kilka odłamków przedmiotu, zgłosił sprawę naukowcom, rozpoczynając „paranormalną sagę”. Kilka metrów pod jego posesją wykryto zagadkową metalową płytę nazwaną „obiektem M”, która miała wywołać szereg dziwnych, często przerażających efektów. Finał sprawy okazał się zaskakujący...

Opowieści o zagadkowym obiekcie spoczywającym w ziemi w okolicach Tallina powtarza się po dziś dzień. Gazety nadal wspominają o tej sensacyjnej historii, czasami prześcigając się w rewelacjach. Jedni mówią: „Leży tam latający talerz, który uległ awarii. Może przemieszczać się pod ziemią. Lepiej tego nie badać”; drudzy odpowiadają: „To nadajnik obcych i nie należy go ruszać, bo będzie źle!” Na różnego rodzaju konferencjach ufologicznych przekazywano sobie z ust do ust makabryczne opowieści o tym, w jaki sposób obiekt „mścił się” na badaczach. Jednemu sparaliżowało rękę, drugi zmarł...

Co tak naprawdę spoczywa w ziemi pod Tallinem? Czy w tych koszmarnych relacjach, z lubością powtarzanych przez dziennikarzy, kryje się jakieś ziarno prawdy?

CO ZNALAZŁ WIRGO MITT?

Wszystko zaczęło się wiele lat temu w Meriwialii (Meriväljal) na przedmieściach Tallina – obszarze niedaleko Zatoki Tallińskiej. Na cichej zielonej ul. Hõbekuuse stał i stoi do dziś dwukondygnacyjny dom z przyległym sadem należący do Wirgo Mitta i jego żony Wijwike. W 1964 r., po zbudowaniu domu, gospodarz zaczął myśleć o wykopaniu studni. Na głębokości 6,5 m. łopata uderzyła w coś twardego. Nie pomógł łom, a gdy

mężczyzna starał się obkopać przeszkodę okazało się, że zajmuje ona bardzo dużo miejsca.

Zdenerwowany Mitt nie miał zamiaru się poddać. Niebawem na Hõbekuuse zahurkotał dźwięk młota pneumatycznego, który przebił się przez przeszkodę. Okazało się, że była to „płyta” o grubości 2,5 – 3 cm. Miejsce niebawem zalała woda – mężczyzna właśnie tego pragnął. Nie zapomniał jednak zabrać stamtąd kilku kawałków dziwnego obiektu, które wykonane były z metalu.

Pewnego dnia Mitt o swoim znalezisku poinformował chemika, Heikkiego Karika. Zaintrygowany uczony postanowił poddać znaleziony w wykopie materiał analizie na Politechnice Tallińskiej. Ponieważ nie kwapiono się z badaniami, oddał próbki do Instytutu Geologii Akademii Nauk ZSRR. W ten sposób tajemniczy metal znalazł się na biurku zastępcy dyrektora ds. nauki, Herberta A. Widjinga, który bardzo zainteresował się znaleziskiem i wkrótce pojawił się w Meriwialii.

Należy wspomnieć, że rodzina Mittów korzystała już wtedy ze studni przez piąty rok. Zaradny gospodarz wzmocnił jej ściany betonem. Wijding dysponował jedynie kawałkiem obiektu i zagadkową opowieścią o tym, jak został on wydobyty. Wstępna analiza metalu wskazywała, że składał się z żelaza; analiza spektralna wskazała na śladowe ilości tytanu, chromu, niklu i kobaltu oraz innych pierwiastków. Badacze doszli do wniosku, że fragment znaleziony w dole musiał pochodzić z bardzo niezwykłego stopu. Zdecydowano, że badania nad spoczywającym w dole obiektem będą kontynuowane.

W 1969 r. Instytut Geologii zdecydował się na badanie magnetometrem. Uzyskano potwierdzenie, że pod posesją znajduje się warstwa metalu i choć nikt nie mówił jeszcze o „latającym spodku”, wydawało się to niezbyt normalne. W następnym roku rada geologiczna Estońskiej SRR przeprowadziła cztery odwierty mające potwierdzić istnienie metalowej płyty. Dwukrotnie sięgnęły one poza głębokość studni Mittów, ale nie natknęły

się na żadną przeszkodę. Przez 15 lat Wijding rozsyłał próbki „obiekta M” do różnych laboratoriów w Moskwie, Leningradzie i Kijowie, ale nikt nie potrafił odpowiedzieć na pytania, które Estończykom nie dawały spać po nocach.

BADANIA

Sprawa ruszyła z martwego punktu w 1983 r., kiedy Wijding wręczył kawałek metalu Ennowi Parve. Enn Kalewicz pojechał do Moskwy, do starego znajomego, Nikołaja Soczewanowa, którego nazywano „ojcem rosyjskiej radiestezji”. Próbki pocięto na kawałki, niszcząc ponoć przy tym dwie diamentowe piły.

Wkrótce przekazano je do niezależnej analizy do wiodących stołecznych uczelni: Moskiewskiego Instytutu Inżynierjino – Budowlanego, Instytutu Rzadkich Metali, Instytutu Surowców Mineralnych, Instytutu Materiałów Lotniczych i innych. Naukowcy wykorzystali najnowsze metody skanowania elektronowego, spektrometrię, analizę laserową oraz chemiczną. Uprzedzając fakty zaznaczę, że właśnie to zaważyło na wypaczeniu wyników...

3 lutego Instytut Materiałów Lotniczych wydał wniosek, iż: „[...] nie wiadomo nic o tym, aby podobne stopy metali stosowano w technologiach lotniczych. Z pewnością charakteryzuje je wielka odporność na wysokie temperatury, a także mieszanki żrących kwasów o dużej koncentracji. Temperatura topnienia nie powinna przekraczać 1200 stopni Celsjusza”. Akademik I. F. Obrazcow oraz prof. A. I. Jelkin z MISI doszli do wniosku, że stop Mitta to kompozyt wzmocniony włóknami wapienno – żelazowo – krzemowymi, którego matryca wygląda jak metaliczne szkło.

Po tak sensacyjnym wniosku Soczewanow zdecydował się odwiedzić Tallin. Wirgo Mitt był już jednak w tym czasie poważnie chory i przykuty do łóżka. Po analizie radiestezyjnej specjalista doszedł do wniosku, że pod posesją spoczywa „talerz” o średnicy ok. 15 m. Głębokość określono na 3 – 7 m. W centralnej części obiekt osiągał wysokość 4 m., zaś szacunkowe

dane wskazywały, że mógł ważyć ok. 200 ton.

Jeden z dokumentów tak charakteryzował znalezisko: a) Nie ma podstaw, aby uznawać, że znaleziony tam materiał jest pochodzenia meteorytowego, b) Zgodnie z opiniami uczonych, wytworzenie tego typu materiału w warunkach ziemskich pozostaje niemożliwe, c) Wydaje się, że badany materiał najprawdopodobniej należy do NOL.

Wnioski te wraz z wynikami analiz Soczewanow wysłał na sam szczyt – do Komisji Wojenno – Przemysłowej przy Radzie Ministrów ZSRR. Tam potraktowano je bardzo poważnie: zakazano publikowania jakichkolwiek danych na temat „obiektu Mitta” i polecono stworzenie bardziej szczegółowego raportu. Później stało się to, co zwykle – sprawę zaczęto spychać coraz niżej. Wpierw dokumenty trafiły do Akademii Nauk ZSRR. Jej wiceprezes, A. A. Janszyn, wydał polecenie, aby uszczegółowić miejsce spoczynku obiektu i wykonać kolejne badania. Następnie sprawa trafiła... znowu do Instytutu Geologii, na biurko Herberta Wijdinga. Na ul. Hõbekuuse rozpoczęto kolejne prace. Na głębokości 6,5 m. „otrzymano sygnał świadczący o znajdowaniu się tam silnie namagnesowanego materiału”, jednak pompy nie nadążały z odprowadzaniem wody. Ponadto zaczęły się mrozy.

Latem 1985 r. geologom udało się wreszcie dotrzeć do zagadkowej warstwy, która okazała się... zwyczajnym pirytem (FeS_2) – minerałem żelaza wykorzystywanym m.in. w produkcji kwasu siarkowego, który występuje w Estonii powszechnie (okolice Meriwialii nazywane są nawet „Piritu”). W tym momencie Wijding zrozumiał, że doszło do niezłego zamieszania. Mitt dokopał się do pokładów pirytu, natomiast do specjalistów trafiło coś zupełnie innego. Możliwe, że właściciel posesji umyślnie wywołał sensację, albo kawałek metalu został nieświadomie podmieniony w laboratorium. Do takiego wniosku doszli estońscy badacze na czele z Igorem Wolke, zajmujący się „obiektem M” z ramienia Wszechzwiązkowego Towarzystwa Naukowo – Technicznego.

ANOMALNY KOCIOŁ

Bardziej szczegółowe badania zagadkowego stopu doprowadziły uczonych do oszałamiających wniosków. Było to... najzwyklejsze żeliwo. „Soczewanow postanowił określić skład próbki przez analizę chemiczną, co doprowadziło do nietrafnych wniosków” – pisał inż. Boris Artamonow. „Zaprogramował on badanie na określenie najdrobniejszych elementów, które w rzeczywistości nie miały żadnego znaczenia. Tym samym naruszył podstawową zasadę badań – ‘od najprostszego do szczegółowego’. Można porównać to do próby zmierzenia odległości z Moskwy do Petersburga z dokładnością co do mikrona.”

Właśnie dlatego pojawiły się wnioski o „38. pierwiastkach, spośród których wiele naturalnie razem w przyrodzie nie występuje”. Tak naprawdę wystarczyło przyjrzeć się pierwiastkom, których jest najwięcej. Artamonow pisał: „Stop żelaza z węglem, przy pięcioprocentowej zawartości tego drugiego, to nic innego jak żeliwo. [...] Można przypuszczać, że powstał w okresie, kiedy terytorium Estonii należało do Szwecji.” Dlaczego zatem doszło do tak dużej pomyłki w badaniach i wnioskach Soczewanowa?

„Sedno tkwi w tym, że chciał on za wszelką cenę potwierdzić tylko jedną wersję – tą z udziałem statku kosmicznego” – odpowiada Artamonow. „Wybrał 6 instytutów, z których tylko dwa mogły rozwiązać tą zagadkę [...]. Należało zwrócić się do Moskiewskiego Instytutu Stali i Stopów przy Akademii Nauk.”

Teraz kilka słów o doborze konsultantów. Jednym z nich był I. F. Obrazcow – akademik, były minister edukacji Rosyjskiej Federacyjnej SRR, który specjalizował się w konstrukcjach rakietowych. Jemu oraz fizykowi, prof. A. I. Jelkinowi, przedstawiono do analizy mikrofotografię. Obrazcow, jako inżynier rakietowy niepracujący nigdy z żeliwem, lecz z materiałami kompozytowymi, natychmiast rozpoznał je w próbkach „obiektu M” (w jego wniosku figuruje określenie „tytan żelaza”, co jest podobnym absurdem jak „srebro ołowiu”). Nic

dziwnego, że takie podsumowania doprowadziły Soczewanowa do spekulacji na temat egzotycznych technologii, które miał kryć obiekt z podwórka Mittów.

POGROM...

Jeśli myślicie, że na tym skończyła się historia „obiekту M”, to głęboko się mylicie. Wkrótce ciężko chorego Wirgo Mitta oraz jego małżonkę zaczął nawiedzać dobrze znany w kręgach ufologicznych Aleksandr Dejew.

Jego działalność nie raz wzbudzała uwagę organów ścigania. Ten były oficer został w 1976 r. relegowany z armii przez sąd wojskowy za „bezprawne leczenie”. Jeden z jego pacjentów zmarł. Już w cywilu Dejew zaczął przedstawiać się jako „ekstrasens” i obracał się w kręgach ufologów, m.in. w słynnej grupie F. J. Zigela. W tym czasie w jego ręce trafić miała dziwna „kula paleoastronautów”. Opierając się na fałszywych wnioskach naukowców Dejew twierdził, że wewnątrz niej znajduje się antymateria! Co więcej, miał on umieścić w jej wnętrzu „generator fal D” (nazywając je nieskromnie od swego nazwiska). Słuchy o przedziwnym generatorze z antymaterią dotarły w końcu do... KGB. Tajniacy odebrali mu kulę i bliżej się jej przyjrzel. Była to niedziałająca, dość chaotyczna kolekcja różnych elementów radioodbiorników, zamknięta w obudowie ze zwykłego szkła. Kiedy zwrócono mu generator, wewnątrz umieszczono plastikową imitację „maszynerii”. Uzdrowiciel nie zauważył podmiany i nadal leczył ludzi wyimaginowanymi „falami D”. [...]

W 1983 r. Dejew znowu trafił przez sąd z powodu śmierci pacjenta, którego leczył „falami”, za co pobrał 12 tys. rubli. Uzdrowiciel czasami diagnozował śmiertelne choroby u zupełnie zdrowych ludzi – jednej pacjentce z Tallina oświadczył, że choruje na raka. Biedna kobieta przez miesiąc szykowała się na śmierć, ale zaryzykowała i wkrótce udała się do kliniki onkologicznej. Po badaniach stwierdzono, że jest „typową symulantką” i zalecono, aby trzymała się z daleka od

„ekstrasensów”.

Ten oto Dejew trafił też do Mittów! O tym, co działo się później pisała „Sowietskaja Estonia” (z 18 lutego 1988 r.): „Według emerytki, Wijwiki Mitt, w lutym 1987 r. na jej posesji pojawili się pracownicy wodociągów w towarzystwie koparek, na czele z panem Dejewem, który pokazując jakiś papier przedstawił się jako pracownik Ministerstwa Obrony ZSRR. Zażądał rozkopania podwórka. Zdziwiona gospodyni zgodziła się pod warunkiem otrzymania rekompensaty oraz zasypiania dziury po zakończeniu ‘badań’. Tego warunku do dziś nie spełniono. W dodatku w wyniku prac wykopaliskowych pękła jedna ze ścian domu. Na polecenie Dejewy wykopano też 7 – metrowy dół w oborze, również do tej pory nie zakopany. Według mężczyzny, na terenie posesji miał znajdować się wrak latającego talerza, którego nie udało się odnaleźć ponieważ ‘zszedł niżej’. Mimo to, według Dejewy, udało się odnaleźć kilka kawałków ‘włazu’ do pojazdu.”

Kiedy dowiedział się o tym Wijding nakazał Dejewowi przerwać ten cyrk. Na odczepne wręczył mu dwa kawałki piirytu znalezione dwa lata wcześniej. „Ekstrasens” rozpoznał w nich rzecz jasna „fragmenty skrzydeł” UFO! Jakim cudem udało mu się sprowadzić do Mittów robotników i koparki? Bardzo łatwo – powołał się na jednego z sekretarzy KC estońskiej partii. Co więcej, Dejew wybrał się do... rady ministrów Estońskiej SRR przedstawiając rozkaz z tajnej jednostki wojskowej. Nie wiadzano jeszcze wówczas, że już dawno wyrzucono go z wojska.

Po rozkopaniu podwórka babci Wijwiki, Dejew zainstalował się w jej domu, zawłaszczając sobie jeden z pokoi, który zastawił dziwacznymi przyrządami posiadającymi oznaczenia składające się z liter i cyfr. Pod komendą Dejew miał 14 osób – rzekomych wojskowych. Gospodyni nie wolno było wchodzić do pokoju – donosiła im tylko herbatę. Tymczasem, nie wytrzymując zmian w swoim otoczeniu, po cichu zmarł Wirgo Mitt...

KONIEC „OBIEKTU M”

W dokumentach autorstwa Dejewy znajduje się informacja nie o jednym, ale dwóch obiektach z podwórka Mittów: „A01 – to metalowy obiekt w kształcie elipsy, o rozmiarach 17 x 12 x 3,5 m. [...] A02 – metalowy obiekt w kształcie elipsy o rozmiarach 9 x 4 x 3,5 m.” Nie trzeba jednak dodawać, że oprócz kilku kilogramów pirytu, grupie Dejewy nie udało się nic wydobyć. Przedsiębiorczy eks – oficer założył jednak spółkę „Rusłan”, która miała produkować cudowne generatory wypełnione „proszkiem z latających talerzy”, czyli niczym innym jak pirytem.

Otrzymaawszy poparcie od jednego z urzędników partyjnych, W. Juszkina, Dejew całkiem zbezczerlniał i oświadczył publicznie, że jego generatory pozwalają na zaoszczędzenie 30 – 50% paliwa, zamieniają miedź w złoto, leczą AIDS, raka i w ogóle wszystkie choroby. Jednocześnie obiecał z ich pomocą oczyścić port w Tallinie z ropy, jak też podwoić wydajność jednego z pobliskich kołchozów. [...]

W świadomości ufologów historia „obiekty M” obrosła fantastycznymi legendami opowiadającymi m.in. o poltergeiście w domu Mittów lub tajemniczym promieniu, który wypalił krzyż na piersi jednego ze współpracowników Dejewy. We wrześniu 1988 r. zmarł Herbert Wijding. W tym samym czasie zrobiono porządek na podwórku Wijwiki Mitt. Doły zakopano i posadzono na nich rośliny. Rok później zmarł drugi bohater tej historii – Enn Parve. Mimo, iż obaj panowie byli w podeszłym wieku, fanatyczni ufolodzy winą za ich śmierć obarczają „obiekt M”!

Ostatecznie w październiku 1989 r. na posesji Mittów pojawili się pracownicy Tomskiej Politechniki i Instytutu Geologii i Geofizyki. Sondując glebę najprostszymi metodami ustalili to, co było od dawna wiadome – żadnych anomalii tam nie ma i nie było. W latach 90 – tych wezbrała nowa fala zainteresowania „obiektem M”. Dziennikarze prześcigali się w pisaniu niewiarygodnych bzdur na ten temat, które okazywały się nawet w głównych tytułach prasowych. Póki media karmić będą swych odbiorców tanimi bajeczkami, w domu Wijwiki Mitt spokoju nie

będzie...

Autor: Michaił Borysowicz Gersztejn

Źródło: [Infra](#)

O AUTORZE

Michaił Borysowicz Gersztejn (ur. 1972 w Leningradzie) – rosyjski ufolog i publicysta, przewodniczący Komisji Ufologicznej przy Rosyjskim Towarzystwie Geograficznym. Publikował m.in. w takich magazynach jak „Anomalia” i „Nexus”, którego rosyjskie wydanie współredaguje.